

zaczniemy od tego, że właściciel baru „Śmierć kredy-  
tom” wręczył mi zeszyt, żebym mógł w nim gryzmolić,  
i święcie wierzy, że ja, Kielonek, mogę spłodzić książ-  
kę, bo kiedyś w żartach opowiedziałem mu historię  
o sławnym pisarzu, który pił jak gąbka, o pisarzu, któ-  
rego gdy się upił, trzeba było podnosić z ulicy, więc  
lepiej nie żartować z pryncypałem, bo bierze wszystko  
wprost, a dając mi ten zeszyt, zaznaczył, że to będzie  
dla niego, tylko i wyłącznie, że nikt inny tego nie prze-  
czyta, chciałem wiedzieć, dlaczego tak mu zależy na  
owym zeszycie, odparł, że nie chce, by bar „Śmierć  
kredytom” zniknął kiedyś ot tak, dodał, że w tym kra-  
ju ludzie nie mają daru zapamiętywania, że czas opo-  
wiastek snutych przez zgrzybiałe babki się skończył,  
że wybiła godzina słowa pisanego, bo tylko to pozo-  
stanie, mowa ulatnia się jak dym, to tyle co kocie siki,  
właściciel baru „Śmierć kredytom” nie lubi gotowych  
formulek w rodzaju „gdy w Afryce umiera starzec, wraz  
z nim płonie cała biblioteka”, a gdy słyszy ten jakże  
wyświechtany frazes, naprawdę się złości i powiada

„zależy jaki starzec, przestańcie się wygłupiać, ja tam wierzę tylko w to, co napisane”, więc trochę, by mu zrobić przyjemność, bazgrzę coś czasami, choć sam nie wiem naprawdę, co tu opowiadam, nie ukrywam, że nawet w tym zasmakowałem, choć za nic się nie przyznam, zaczęłby myśleć Bóg wie co i zmusił mnie do jeszcze większego galopu, a ja chcę być wolny i pisać, kiedy mam ochotę, kiedy mogę, nie ma nic gorszego od przymusowych robót, nie jestem jego murzynem, piszę też dla siebie i dlatego nie chciałbym być w jego skórze w chwili, kiedy przejrzy te kartki, na których nie zamierzam nikogo oszczędzać, lecz kiedy to przeczyta, nie będę już klientem baru „Śmierć kredytom”, moje stare kości przeniosą się gdzie indziej, dyskretnie podam mu kajet i powiem „misja zakończona”

muszę tu wspomnieć o dyskusji, jaka wywiązała się zaraz po narodzinach tego baru, rzec słówko o cierniowej drodze naszego pryncypała, naprawdę chcieli, żeby wyzionął ducha, spisał testament Judasza, a zaczęło się wszystko od ludzi Kościoła, którzy widząc, że liczba wiernych co niedziela maleje, rozpętali prawdziwą świętą wojnę, rzucali przed bar „Śmierć kredytom” swoje jerozolimskie Biblie, mówili, że jeśli tak dalej pójdzie, skończą się msze w dzielnicy, skończą się transy i chóralne śpiewy, Duch Święty nie nawiedzi już dzielnicy Trzysty, nie będzie czarnych chrupkich hostii, nie będzie słodkiego wina, krwi Chrystusa, nie będzie ministrantów, pobożnych siostrzyczek, nie będzie świec, nie będzie jałmużny, nie będzie pierwszej komunii ani drugiej, nie będzie katechizmu, chrztów, nie będzie niczego i wtedy wszyscy pójdą prosto do piekła, a później wkroczył syndykat rogaczy w niedzielę i od święta, utrzymując, że jeśli żony przestały nagle pichcić im smaczne obiady, jeśli nie szanują mężów jak panie minionego czasu, to w znacznym

stopniu za sprawą baru „Śmierć kredytom”, powtarzali, że szacunek to rzecz najwyższej wagi, że nikt nie szanuje męża tak jak żona, bo tak było zawsze, od Adama i Ewy, toteż ojcowie rodzin nie widzą powodu, by wszczynać rewolucje, żony powinny się płaszczyć, słuchać poleceń mężów, mówili tak, lecz również bez żadnego skutku, potem zaczęły się próby nacisku ze strony stowarzyszenia byłych alkoholików, którzy przeszli na wodę, fantę, pulp’orange, grenadinę, senegalski bissap, sok grejpfrutowy czy coca-colę light, przemycaną do Nigerii z liśćmi indyjskich konopii, ta banda doktrynerów okupowała bar przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy, lecz także bez skutku, później przyszła kolej na akcje mistyczne stróżów tradycyjnej moralności, wodzów plemiennych, którzy rzucali na próg lokalu swoje *gris-gris*, miotali klątwy pod adresem właściciela baru, wzywali dusze zmarłych i przepowiadali, że pryncypał będzie się smażył na wolnym ogniu, że wkrótce pomogą mu pojechać windą na szafot, ale wszystko bez skutku, wreszcie doszło do aktów terroru w wykonaniu band opłacanych przez paru starych durniów z dzielnicy, wspominających z żalem czasy Case de Gaulle, radosne życie boya, życie starego negra z medalem za zasługi, epokę kolonialną, murzyńskie bale Josephiny Baker i banany podskakujące wokół jej talii, dzięki tym powszechnie szanowanym ludziom pryncypał znalazł się w nie lada opałach, wysłali w środku nocy, w samym jądrze ciemności, oprychów w kominiarkach, którzy zjawili się, dzierżąc żelazne pręty z Zanzibaru, maczugi i pałki z chrześcijańskiego średniowiecza, zatrute dzidy z cza-

sów Zulusa Czaki, komunistyczne sierpy i młoty, katalpuly z okresu wojny stuletniej, galijskie zakrzywione noże, motyki Pigmejów, koktajle Mołotowa z maja ‘68, maczety używane podczas sezonu w Rwandzie, proce ze słynnej walki Dawida z Goliatem, przyszli z całym tym świetnym arsenałem, lecz także na próżno, zdemolowali wszakże część lokalu i w mieście mówiło się tylko o tym, pisała o tym cała prasa, „Ulica umiera”, „Tydzień Afrykański”, „Mwinda”, „Mouyondzi Tribune”, z sąsiednich krajów ściągnęli nawet turyści, by ujrzeć to miejsce z bliska niczym pielgrzymi odwiedzający Ścianę Płaczu, i ci turyści robili mnóstwo zdjęć, nie wiem w jakim celu, ale robili zdjęcia, byli nawet wśród mieszkańców tego miasta tacy, których noga nigdy nie postąpiła w dzielnicy Trzysta i którzy odkrywali ją teraz w osłupieniu, zadając sobie pytanie, jak ludzie mogą żyć w tak doskonałej symbiozie z brudem, kałużami, szkieletami żywego inwentarza, spalonymi samochodami, z błotem, gnojem, wielkimi wyrwami w jezdni i domami w ruinie, a nasz pryncypał udzielał wywiadów na prawo i lewo, nasz pryncypał z dnia na dzień stał się męczennikiem, nasz pryncypał zaczął się nagle pojawiać we wszystkich programach, mówił w języku lingala z Północy, w języku munukutuba z puszczy Mayombe, w narzeczu bembe mieszkańców okolic mostu Moukoukoulou, którzy z uporem maniaka rozstrzygają spory za pomocą noża, i wszyscy go znali, stał się sławny, wzbudzał litość, ludzie chcieli mu pomóc, przychodziły nawet listy z wyrazami poparcia, petycje w obronie śmiałka, którego zaczęto nazywać Upartym Ślimakiem, lecz można było liczyć zwłaszcza na pijacz-

ków, którzy zawsze są solidarni do ostatniej kropli i którzy zabrali się do dzieła, zakasali rękawy, by usunąć materialne szkody spowodowane przez ludzi żałujących epoki kolonialnej, żałujących willi de Gaulle'a, murzyńskich balów Josephiny Baker, i ta banalna dla wielu historia stała się wydarzeniem na skalę narodową, mówiło się o „sprawie baru »Śmierć kredytom«”, rząd omawiał tę kwestię na Radzie Ministrów i niektórzy z rządzących krajem żądali natychmiastowego i bezapelacyjnego zamknięcia lokalu, a inni przeciwstawiali im argumenty niewiele bardziej przekonujące, toteż ta dysputa jaszczurek ze starej senegalskiej baśni wkrótce podzieliła kraj, a wtedy minister rolnictwa, handlu oraz małych i średnich przedsiębiorstw Albert Zou Loukia wygłosił stanowczą i uczoną mowę, która odtąd już zawsze będzie się z nim kojarzyć, wystąpił z pamiętnym przemówieniem, które pozostanie jednym ze świetniejszych przykładów politycznej oracji wszech czasów, minister Zou Loukia wielokrotnie powtórzył słowo „oskarżam” i było to dla wszystkich takim zaskoczeniem, że odtąd na ulicach, bez wyraźnego powodu, z okazji byle sprzeczki czy nieporozumienia powtarzano „oskarżam”, i nawet szef rządu powiedział swemu rzecznikowi, że minister rolnictwa potrafi przemawiać, że jego jakże popularne sformułowanie „oskarżam” przejdzie do historii, toteż premier obiecał, że przy najbliższej przebudowie rządu powierzy ministrowi rolnictwa tekę ministra kultury, wystarczy skreślić „agro”, tymczasem wszyscy powinni się zgodzić, że minister wygłosił znakomitą mowę, wyrecytował całe strony z książek najważniejszych auto-

rów, których tak chętnie cytujemy przy stole, spocił się jak zawsze, kiedy pęczniał z dumy, że zdołał oczarować słuchaczy erudycją, tak oto stanął w obronie baru „Śmierć kredytom”, najpierw pochwalił inicjatywę Upartego Ślimaka, którego znał dobrze, bo razem chodzili do szkoły, potem podsumował słowami, które cytuję z pamięci: „Panie i Panowie, członkowie Rady Państwa, oskarżam, nie chcę podsycać i tak niezdrowej atmosfery społecznej w naszym kraju, jako członek rządu nie chcę uczestniczyć w nagonce na człowieka, oskarżam niegodziwców szkalujących osobę, której jedyną przewiną było wytyczyć drogę własnej egzystencji, oskarżam bezprzykładne ekscesy reakcji, do jakich ostatnio doszło, oskarżam brutalne barbarzyńskie czyny prowokowane przez ludzi złej woli, oskarżam miotających obelgi i dopuszczających się aktów agresji, które w naszym kraju stały się chlebem powszednim, oskarżam o współudział wszystkich tych, którzy podżegają uzbrojonych w kije chuliganów i naruszają porządek publiczny, oskarżam ludzi gardzących człowiekiem, ludzi bez tolerancji, odrzucających wartości, ziejących nienawiścią, pozbawionych sumienia, wszystkie te wstrętne stepowe ropuchy, tak, Panie i Panowie, członkowie Rady Państwa, widzicie oto, jak dzielnica Trzysta zmienia się w bezsenne miasto o kamiennej twarzy, a człowiek, którego nazywa się teraz Upartym Ślimakiem, pomijając sam fakt, że był moim szkolnym kolegą, zresztą bardzo zdolnym, ten człowiek, którego wszyscy dzisiaj prześladują, padł ofiarą spisku, Panie i Panowie, członkowie Rady Państwa, skupmy raczej wysiłki na ściganiu

prawdziwych winowajców, zatem oskarżam tych, którzy bezkarnie paraliżują działanie naszych instytucji, ostentacyjnie zrywają łańcuch solidarności, odziedziczony po naszych przodkach Bantu, powiem otwarcie, jedyny błąd Upartego Ślimaka polegał na tym, że pokazał swoim pobratymcom, iż każdy na swój sposób może się przyczynić do przeobrażenia natury ludzkiej, jak naucza nas wielki Saint-Exupéry w swej książce *Ziemia, planeta ludzi*, oto dlaczego oskarżam i nie przestanę oskarżać”

nazajutrz po wystąpieniu premiera Zou Loukii prezydent republiki we własnej osobie Adrien Lokouta Eleki Mingi wściekł się i zaczął zgniatać winogrona, które przecież tak lubił codziennie na deser, i dowiedzieliśmy się z radia Trotuar FM, że prezydent Adrien Lokouta Eleki Mingi, który był także generałem armii, zazdrości ministrowi rolnictwa wyrażenia „oskarżam”, otóż prezydent-generał armii wolałby, by to popularne słówko padło z jego ust, nie rozumiał, dlaczego jego doradcy nie wymyślili równie krótkiej i tak skutecznej w terenie formułki, każąc mu wygłaszać pompacyjne zdania w rodzaju „Jak Słońce, które wstaje na horyzoncie i zachodzi wieczorem nad majestatyczną rzeką Kongo”, i rozdrażniony, dotknięty, upokorzony, przybity prezydent Adrien Lokouta Eleki Mingi wezwał czarnuchów ze swej kancelarii, którzy darzyli go wielką miłością, i kazał im pocić się jak nigdy dotąd, bo ma dość napuszonych zdań zabarwionych fałszywą poetycką nutą, i negrzy z kancelarii stanęli

na baczność, w szeregu, od najniższego do najwyższego, jak bracia Dalton ścigani przez Lucky Luke’a na kaktusowych równinach Dzikiego Zachodu, i ci negrzy powiedzieli chórem „Tak jest, panie kominandancie”, bo przecież nasz prezydent Adrien Lokouta Eleki Mingi jest generałem armii, nie mógł się zresztą doczekać wojny domowej Południa z Północą, by spisać wreszcie wojenne pamiętniki, które zatytułuje zwyczajnie *Pamiętniki Adriana*, prezydent-generał armii kazał im znaleźć formułkę, która przejdzie do historii jak „oskarżam” wypowiedziane przez ministra Zou Loukię, i negrzy z kancelarii harowali całą noc, przy drzwiach zamkniętych, po raz pierwszy otworzyli i przewertowali tomy encyklopedii, obrastające kurzem na półkach prezydenckiej biblioteki, szukali w wielkich księgach zapisanych maczkiem, wyszli od początków świata i przez epokę gościa zwanego Gutenbergiem oraz czasy egipskich hieroglifów dotarli do pism pewnego Chińczyka, który rozwodził się ponoć na temat sztuki wojennej, a żył w epoce, gdy nawet nie wiadomo, że Chrystus przyjdzie na świat za sprawą Ducha Świętego i złoży się za nas, grzeszników, w ofierze, lecz czarnuchy Adriana nie znalazły niczego tak mocnego jak „oskarżam” ministra Zou Loukii, a prezydent-generał armii zapowiedział, że wywali na zbity pysk całą kancelarię, jeśli nie dostanie swojego słówka dla potomności, powiedział „czemu miałbym płacić tej bandzie idiotów, niezdolnej nawet wymyślić mi zdania, które trafia, które pozostaje, które ma swoją wagę, uprzedzam, jeśli formułka nie będzie gotowa, nim pierwszy kur zapieje, niektóre głowy spadną jak

zgnie owoce mango, tak, dla mnie wszyscy jesteście jak zgnie owoce mango, ja wam to mówię, możecie zacząć pakować manatki i rozglądać się za jakimś katolickim krajem, który zechce was przyjąć, wygnanie albo grób, powtarzam, od tej chwili nikt nie ma prawa opuszczać pałacu i niech no tylko w moim gabinecie poczujecie kawę lub dym z cohiby albo montecristo, żadnej wody, kanapek, nic a nic, to ma być dieta, tak długo, aż znajdziecie mi moją formułkę, powiedzcie no, proszę, jakim cudem byle minister Zou Loukia znajduje swoje »oskarżam«, które kraj powtarza, hę, wiem od moich prezydenckich służb specjalnych, że dzieciom nadają już imię »oskarżam«, a co powiecie o tych napalonych dzierlatkach, które tatuują sobie to słówko na tyłkach, ba, na dodatek, o ironio losu, klienci zaczynają żądać tego od byle prostytutki, więc sami widzicie, przez was siedzę w gównie, czy to taka sztuka znaleźć trafną formułkę, cóż to, czyżby czarnuchy z Ministerstwa Rolnictwa były od was lepsze, zdajecie sobie sprawę, że jego murzyni nie mają nawet służbowych samochodów, jeżdżą ministerialnym autobusem, mają marne pensje, gdy wy żyjecie sobie beztrojsko w pałacu, pływacie w moim basenie, pijecie mego szampana, oglądacie sobie w kablówce zagraniczne stacje, gdzie wygadują o mnie nie wiadomo co, zjadacie moje ciasteczka, wcinacie mego łososa, opychacie się moim kawiozem, chodzicie po moim ogrodzie i jeździecie z kochankami na nartach po moim sztucznym śniegu, jeszcze trochę, a będziecie sypiać z moimi dwudziestoma żonami, powiedzcie w końcu, proszę, jaki mam z was pożytek w mojej kancelarii, hę, czy

placę wam za to, żebyście przychodzili mi się tu walczyć, równie dobrze mógłbym zrobić szefem kancelarii mojego głupiego psa, bando nierobów”, i prezydent Adrian Lokouta Eleki Mingi trzasnął drzwiami kancelarii i zawołał raz jeszcze „bando czarnuchów, odtąd w tym pałacu nic nie będzie już takie jak kiedyś, dość mam tuczenia trutniów podsuwających mi bzdery, od teraz będę oceniał was po wynikach, i pomyśleć, że są wśród was tacy, którzy kończyli ENA i politechnikę, sranie w banię, ot co”

murzyni z kancelarii wzięli się do roboty z wiszącą im nad głowami dzidą Zulusa Czaki i mieczem Damoklesa, a echo ostatnich słów prezydenta rozbrzmiewało jeszcze w pałacu, kiedy, koło północy, jako że nie wpadli jeszcze na żaden pomysł, bo chociaż mamy w kraju pod dostatkiem ropy, brakuje nam pomysłów, kiedy w naturalny sposób przyszło im do głowy, by zadzwonić do pewnej wpływowej osoby z Akademii Francuskiej, ponoć jedynego Murzyna w całej historii tego czcigodnego grona, i wszyscy przyklasnęli temu pomysłowi, uznając, iż członek Akademii na pewno poczuje się zaszczycony, więc napisali długi list, używając poprawnych form czasu zaprzeczonego, było tam nawet kilka poruszających fragmentów heksametrem, bogato rymowanych, bardzo wnikliwie sprawdzili interpunkcję, za nic nie chcieli stać się przedmiotem żartów członków Akademii, którzy tylko czyhają na sposobność, by dowieść całemu światu, że są do czegoś potrzebni, nie tylko do przyznawania